
ŁOWIEC POLSKI
ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH
STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH
JÓZEF RAPACKI 1925.

Ostrzeżenie Sz. Prenumeratorów.

Wobec postanowienia niedrukowania numerów „Łowca P." na zapas, ostrzegamy, że kto zapóźno nadeśle pieniądze za prenumeratę, nie będzie mógł otrzymywać dawnych numerów.

Raz jeszcze przypominamy też, że prenumerata oznacza płacenie zgóry, a nie zdołu.

Pisma na kredyt nie wysyłamy.

Również za ogłoszenia zamawiane listownie trzeba zgóry nadsyłać pieniądze podług taryfy.

ADMINISTRACJA.

Od Towarzystwa Łowieckiego Zachodnio-Małopolskiego w Krakowie.

(ul. Kremerowska 12).

Dla udogodnienia opłaty wkładek członk. na IV kwartał kal. 1926 r. dołączamy do niniejszego numeru Łowca Pol. przekazy P. K. O. (konto czek. Nr. 405.265) i prosimy o r y c h ł e nadanie gotówki w celu utrzymania ciągłości w regularnej wysyłce dwutygodnika.

Członkom-delegatom naszego Tow. prześlemy kartę legitymacyjną, instrukcję, odznakę i statut Tow. w drugiej połowie października b. r. W tym czasie prześlemy także odznaki tow. wszystkim innym niezalegającym z opłatą wkładek członkom, którzy należytość za odznakę (zł. 5.60) uiścili.

Wobec wprowadzonej w obrębie starostwa krakowskiego ścisłej kontroli kart łowieckich przez posterunki policyjne, zwracamy naogół uwagę członków, ażeby te karty na polowaniach mieli zawsze przy sobie i ewentualnie bezzwłocznie je odnowili, o ile to przez przeoczenie jeszcze nie nastąpiło.

Kraków, dn. 21 września 1926.

Za Wydział Towarz. Łow. Zach.-Małop. w Krakowie:

Prez. **Stiller**, em. gen. dyw. Sekr. **Morawetz**.



WALKA.

Bez ogródek.

Dziś, gdy mamy w stolicy zjednoczony, jeden jedyny organ myśliwski niosący braci łowieckiej naukę i zabawę, najwyższy czas uświadomić sobie smutny a nieprawdopodobny fakt, jak znikoma ilość myśliwych naszych interesuje się prasą łowiecką. Trzeba to powiedzieć bez żadnych ogródek, bez żadnych fałszywych ostrożności, całkiem niedwuznacznie, jaknajgłośniej i jaknajdobitniej.

Dość wołania na puszczy, dość wzywań do „popierania placówki łowieckiej". Tu nie chodzi o dobroczynność. Czytanie pisma fachowego przez myśliwych nie jest z ich strony spełnieniem jakiegoś czynu grzeczności w stosunku do zespołu redakcyjnego. Zarzućmy wreszcie pojęcia błędne i nazwijmy rzeczy po imieniu, chociażby to temu i owemu mogło sprawić przykrość, chociażby to tego i owego miało okryć rumieńcem wstydu.

Czytanie pisma fachowego jest myśliwemu tak samo niezbędne, jak używanie dobrej broni, posługiwanie się dobrą amunicją, dobrym psem, tak samo konieczne do powodzenia — jak umiejętność strzelania i znajomość obyczajów zwierzyny.

Jeśli nie śledzisz rozwoju łowieckiej wiedzy, postępującego dziś szybko naprzód, jeśli nie interesują cię przeżycia innych myśliwych, obserwacje z życia zwierząt łownych, zasady hodowli, nauka o broni i o psie myśliwskim — nie jesteś myśliwym, w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa, pochodzącego przecież od myśli. Bezmyślny strzelec nic z myślistwem nie ma wspólnego. Jakże zarozumiałym jest uparty „praktyk", który twierdzi, iż niczego już nikt go nauczyć nie może! Zaś z „praktyków" takich składa się niestety olbrzymia większość naszych „strzelców". Każdy z nich ubiegając się o dzierżawę terenu myśliwskiego, uważa się za hodowcę, za reformatora i obrońcę upadłego łowiectwa oraz ginącej zwierzyny. Każdy występuje z najfantastyczniejszym i najniedorzeczniejszym pomysłem uzdrowienia stosunków, do którego urzeczywistnienia trzebaby zmienić od podstaw konstytucję i ustrój państwa. Każdy, jakby spadł z księżyca, daje projekty tak odległe od życia i tak nierealne, że czasami aż litość bierze nad ludzką (nazwijmy to po imieniu) głupotą.

A powód tego wszystkiego? Nieczytanie pism łowieckich, trzymających rękę na pulsie aktualnych zagadnień. Taki reformator, taki zbawca łowiectwa i obrońca zwierzyny nie wie nawet, iż istnieje

w Warszawie pismo myśliwskie omawiające zagadnienia, które dyletancko i ignorancko rozstrzygać pragnie.

Ośmiesza się często Włochów i Francuzów, żartuje się z Niemców, kpi z bolszewików, mówiąc o sprawach łowiectwa. Chociaż to smutno powiedzieć, byłoby źle zrozumianym patrjotyzmem i błędem nie do darowania wyśmiewanie poziomu łowieckiego innych i apoteozowanie stosunków niezdrowych, nienormalnych i niegodnych naszej wspaniałej łowieckiej przeszłości, panujących dziś w naszej Ojczyźnie. Byłoby to niegodne, szkodliwe, niemądre i niepatrjotyczne.

Nasz ogół myśliwski — powiedzmy to prosto z mostu właśnie dla dobra tego ogółu, — stoi na bardzo niskim poziomie pod względem łowieckim, a jedną z najważniejszych przyczyn tego jest zupełne nieinteresowanie się zagadnieniami związanemi z myślistwem poza samym procesem łupienia do zwierzyny.

Mógłby ktoś odpowiedzieć, że nasza prasa łowiecka stoi niżej od cudzoziemskiej, a przedewszystkiem od niemieckiej i angielskiej, pod względem zewnętrznym. Ależ na to, by dorównała pod każdym względem wydawnictwom zagranicznym, musi mieć takie, jak one, poparcie społeczeństwa w dobrze zrozumianym interesie myśliwskiego ogółu, który musi się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć.

Zastraszająco mała jest ilość czytelników pism łowieckich pośród naszego ziemiaństwa zwłaszcza w b. Kongresówce. Wymawianie się brakiem pieniędzy jest nieistotne, gdyż nikomu nie przyjdzie do głowy brak ładunków usprawiedliwiać na polowaniu brakiem pieniędzy: ładunki są niezbędne i dlatego się je kupuje. Otóż tu tkwi nieporozumienie: czytanie pisma łowieckiego jest równie niezbędne jak i posiadanie ładunków do tego, by móc nosić miano myśliwego. Inaczej nawet nemrod strzelający z broni palnej będzie „moralnym wnykarzem".

Artykuł niniejszy zwracamy do naszych Czytelników, to jest do ogółu prawidłowych myśliwych polskich, (znów jasno podkreślam). Kto bowiem nie interesuje się jedynem, stołecznem pismem myśliwskiem, ten jest poza nawiasem tego ogółu. Najzupełniej poza nawiasem.

Czytelnicy nasi powinni w miarę sił i możności rozprzestrzeniać ten słuszny pogląd i wstydzić przy każdej sposobności tych „myśliwych", którzy uważają, iż sami sobie wystarczą i niczego już nauczyć się nie mogą. Usilna propaganda myśliwskiego słowa musi wydać swoje owoce.

Lecz nato, by było lepiej, raz wreszcie śmiało, po męsku musiały być wypowiedziane słowa prawdy pod adresem tego ogółu, który pism łowieckich nie czytuje i do żadnych zrzeszeń myśliwskich nie należy.

Umyślnie nie użyłem tu słowa „szarego" ogółu. Wśród niezamożnych myśliwych czytelnictwo bowiem nieraz bardziej jest rozpowszechnione, niż wśród bardzo zamożnych. To także podkreślić trzeba dobitnie. Jest to jeszcze jeden argument, stwierdzający, że nie o koszt prenumeraty chodzi.

Owijanie w bawełnę faktów byłoby mydleniem oczu i wprowadzaniem w błąd opinji.

Chcecie lepszego pisma? piękniejszych ilustracyj? ciekawszej treści? Bardzo dobrze. Pomóżcie nam, by pismo jedyne dziś w stolicy, mogło podnieść się tak pod względem treści, jak i zewnętrznej formy. Lecz nie w imię jakiejś dobroczynności prosimy Was o pomoc, ale w imię waszych interesów myśliwskich, w imię walki z ignorancją, będącą najstraszliwszą klęską współczesnego łowiectwa, gorszą od kłusownictwa, bo z tem prawnie walczyć można, i gorszą od szkodników, bo te można tępić zapomocą odstrzału i trucizny.

Juljan Ejsmond.

ŻUBR.

JEGO HISTORJA, OBYCZAJE i PRZYSZŁOŚĆ.

(Zob Nr. 18)

Akcja ratownicza.

W roku 1923 wziąłem udział w Międzynarodowym Kongresie Ochrony Przyrody w Paryżu (Congrès Intérnational pour la Protéction de la Nature à Paris) jako delegat Polskiej Państwowej Komisji Ochrony Przyrody i w d. 1 cezrwca w Sekcji I-ej Kongresu (Świat zwierzęcy) rozwinąłem ogólny zarys planu ratowania żubrów od ostatecznej zagłady mniej więcej w sposób następujący.

Za przykład należy wziąć Stany Zjednoczone, które około 1889 roku z inicjatywy prof. Williama T. Hornaday'a utworzyły Ligę obrony bizona amerykańskiego (**Bison bison**, Linn.), zagrożonego również ostateczną zagładą. Dzięki umiejętnym i energicznym zarządzeniom Ligi zdołano podnieść liczbę bizonów z 1091 sztuk (1889 r.) do z górą 8000 sztuk (1923 r.).[1]) Dziś więc śmiało można powiedzieć, że bizon amerykański ocalał od kompletnego wytępienia i od przejścia do stanu zwierząt zaginionych. Zachodzi teraz pytanie, czy z temi nielicznemi resztkami żubrów, jakie nam pozostały, udałoby się zrobić coś podobnego?

Doświadczenie uczy nas, że żubr rozmnaża się nietylko w zwierzyńcach, ale nawet w kompletnej niewoli, to jest w ciasnych zamknięciach ogrodów zoologicznych (jak np. w Budapeszcie, w Londynie, w Sztokholmie i w innych). Jeżeli przeto w Pszczynie z 1 byka i 3 krów, a choćby nawet z 5-ciu sztuk, sprowadzonych rzekomo z Białowieży w 1893 r. dochowano się stada z górą 100 sztuk, odstrzeliwując przytem pewien odsetek żubrów na polowaniach (57 sztuk) i sprzedając liczne okazy do ogrodów zoologicznych, to dlaczegóż nie mianoby osiągnąć jeszcze lepszych rezultatów, mając do dyspozycji około 30 żubrów żyjących?

Zachodzi wszelako jedna zasadnicza różnica między ratowaniem bizonów w Ameryce i żubrów w Europie. Tam sprawa rozstrzygnęła się wyłącznie na terytorjum Stanów Zjednoczonych; u nas żubry są rozproszone na znacznych obszarach Europy, tworząc jakby wyspy w Anglji, w Niemczech, na Węgrzech, w Holandji, w Szwajcarji i w Polsce (żubrów kaukazkich nie biorę pod uwagę, uważając je za wytępione do ostatniej sztuki).[1]) Z niniejszego wynika, że jeżeli chcemy rozpocząć skuteczną akcję ratownicza, to musimy postawić ją na gruncie międzynarodowym. Ten wzgląd spowodował, że Państwowa Komisja Ochrony Przyrody upoważniła mnie do poruszenia tej sprawy na Kongresie Paryskim, jako najbardziej kompetentnym do

[1]) Obecnie bizonów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie liczą zgórą 15,000 głów.

[1]) Mniemanie to okazało się błędnem.

zainicjowania tej akcji. Kongres wniosek mój przyjął, wyrażając go w jednym z postulatów (**un voeu**) w formie następującej:

Międzynarodowy Kongres Ochrony Przyrody zebrany w Paryżu w dniach 31 maja do 2 czerwca 1923 roku na sesji w d. 1 czerwca po wysłuchaniu raportu p. Jana Sztolcmana, wicedyrektora Polskiego Państwowego Muzeum Przyrodniczego w Warszawie i delegata Polskiej Narodowej Komisji Ochrony Przyrody, oraz mających ze sprawą związek, uwag p. Jana Delacour, prezesa I-ej Sekcji Kongresu, zważywszy: że gatunek żubra jest obecnie reprezentowany zaledwie przez 5 stad żubrów chowanych w niewoli, które to stada obejmują mniej niż 30 sztuk i że tem samem grozi gatunkowi kompletna zagłada; wyraża życzenie, ażeby utworzoną została jaknajprędzej liga międzynarodowa pomiędzy tymi krajami, które posiadają jeszcze żubry na swych terytorjach; ażeby inne narody zechciały przyjść im z pomocą pieniężną; ażeby przedewszystkiem Liga obrony bizonów amerykańskich raczyła udzielić swego doświadczenia do dyspozycji tego nowego zgrupowania.

Rozwijając myśl powyższą, przyszedłem do przekonania, że porozumienie takie winno wyrazić się w utworzeniu międzynarodowej ligi, do której powinny przystąpić te kraje, które posiadają na swych terytorjach żubry, a zatem: Anglja, Węgry, Austrja, Niemcy, Szwecja, Polska, Holandja i Czechosłowacja. Nie wyłączonem jest wszelako, a raczej bardzo pożądanem, ażeby w akcji ratowniczej brały udział i te kraje, które żubrów nie posiadają, a to wychodząc z punktu widzenia, że nauka jest międzynarodową, więc i ratowanie gatunku od zagłady winno być udziałem wszystkich narodów, które naukę uprawiają.

Narody, należące do ligi ratowania żubrów, wyznaczyłyby swych delegatów przedewszystkiem z pośród właścicieli żubrów lub ich zastępców, a następnie z ludzi fachowo obeznanych z hodowlą tych zwierząt. Eksperci po przeprowadzeniu dokładnego spisu żyjących dziś żubrów z wymienieniem płci, wieku, pochodzenia (pedigree), rozwoju, warunków bytu i t. p. przedsięwzięliby środki w celu zapewnienia jaknajlepszych warunków rozwoju gatunku. Wszystkie punkty, gdzie się obecnie znajdują żubry, uznaćby należało za stacje hodowlane i podzielić je na kategorje stosownie do warunków, jakie one dla bytowania żubrów przedstawiają, a jedną z nich, mianowicie posiadającą najlepsze warunki dla rozwoju stada żubrów, uznać za centralną.



Niewątpliwą jest rzeczą, że przy bliższem poznaniu osobników na poszczególnych stacjach zaszłaby potrzeba przegrupowania niektórych okazów — w tych mianowicie wypadkach, gdzie niewłaściwy stosunek obu płci mógłby szkodliwie wpłynąć na rozwój hodowli, lub w których pojedyńcze okazy

wegetują bez żadnej korzyści dla rozwoju gatunku. Niewątpliwie znajdą się też okazy, które należałoby wyeliminować zupełnie z grup hodowlanych jako dotknięte rachityzmem. Wypadki takie cytuję specjalnie dlatego, żeby uwidocznić potrzebę bezwzględnego poddania się zarządzeniom ekspertów Rządy, a zwłaszcza właściciele żubrów muszą być z góry przygotowani na tego rodzaju rygor, gdyż inaczej działalność ekspertów byłaby sparaliżowana. Oprócz tego rządy krajów należących do ligi muszą też bezwzględnie przyczynić się do pokrywania wszelkich kosztów, jakie podobna akcja pociągnie za sobą. A koszta te będą znaczne (przewożenie okazów, grodzenie zwierzyńców, koszty przejazdów ekspertów i t. p.), wszelako rozdzielą się one na całą grupę narodów, i z tego właśnie względu pożądanem jest, aby do projektowanej ligi przystąpiło jaknajwięcej krajów, gdyż wtedy koszta prowadzenia akcji rozdzielą się na większą ilość uczestników.

Wielkie doświadczenie, jakie posiadają w sprawie hodowli bizonów amerykańskich — prof. Hornaday, oraz jego współpracownicy z Ligi obrony bizona, skłania mnie do wyrażenia opinji, że współudział hodowców amerykańskich w akcji ratowania żubrów byłby ze wszech miar pożądany. Bizon amerykański i żubr są gatunkami tak blizkimi siebie, że zarządzenia, które okażą się korzystnemi dla jednego z nich, będą też sprzyjały rozwojowi drugiego. Nie wątpię też, że prof. Hornaday i jego koledzy z Ligi obrony bizona chętnie udzielą swego poparcia w akcji, mającej za zadanie obronę żubra od ostatecznej zagłady.

W chwili gdym odczytywał mój referat na Kongresie Paryskim, myśl założenia Ligi ochrony żubrów została jednocześnie poruszoną w Niemczech i w Ameryce. P. A. Chappellier, sekretarz Francuskiej Ligi ochrony ptactwa zawiadomił mnie, że dr. Priemel, dyrektor ogrodu zoologicznego we Frankfurcie n. Menem, porobił już odpowiednie kroki w Londyńskiem Towarzystwie Zoologicznem, które przelało (a remis) całą akcję w ręce d-ra Priemel'a. Wkrótce potem dr. Szafer nadesłał mi list d-ra Jana Prochazki, w którym uczony czeski zawiadamiał, że bawiąc w Berlinie, był na posiedzeniu miejscowej Komisji Ochrony Przyrody, gdzie poznał Amerykanina, d-ra Teodora Ahrens'a, który „przygotowuje się do utworzenia towarzystwa na wzór „American Bison Society", a to w celu ratowania ostatnich żubrów w Europie. Stowarzyszenie to ma być międzynarodowe, a prezesem jego będzie prawdopodobnie lord of Bedford. Szwecja, Danja, Holandja, Szwajcarja i Ameryka oznajmiły iż będą tam mieć swych przedstawicieli". D-r Prochazka zwrócił uwagę, że nie można w tej sprawie pominąć Polski. W każdym razie fakt, że jednocześnie prawie, a niezależnie od siebie poruszono sprawę utworzenia Ligi ochrony żubrów po trzech różnych państwach dowodzi, jak ta sprawa była palącą.

(D. c. n.) *Jan Sztolcman.*

Na rykowisku łosi.

(Ze wspomnień myśliwskich).

Fioletowym kobiercem kwitnących wrzosów przyodziała zbliżająca się jesień sosnowy bór. Pierwsze pożółkłe liście brzóz poczynały wyzłacać brzegi polan, przysypywać dróżki. Bronzowiały paprocie, z siwych mchów wyglądały kolorowe syrojadki, żółte lisiczki, zdobne purpurą muchomory. Chłodnawym i wilgotnym stawał się dech lasu. Ustępował godowy jego strój, by zamienić się niebawem na złocistą szatę. Zamilkło drobne ptactwo, ucichł pieśniarz-drozd, odleciały melodyjne wilgi. Wrzaskliwe sójki przelatywały w konarach starych dębów, a w wierzchach świerków, zrywając się z furkotem całemi stadkami, pilnie pracowały krzyżodzioby. Rankami, gdy przygrzało słońce, na polanach i wysmałach rozbrzmiewało bełkotanie starych kogutów cietrzewi, którym z chwilą ukończenia zmiany opierzenia wróciło zdrowie i dawne wesele; to też po obfitem śniadaniu z borówek i pijanic — marząc o przyszłej wiośnie, wprawiały się w śpiewie. Smutnym rzewnym głosem żegnał rodzinne błota przelatujący trójkąt żórawi.

Smugą błękitnego dymu znaczyło ognisko miejsce, w którem oczekiwał mię stary Baltruk.

U stóp rozłożystych dębów i świerków, na brzegu leśnego ruczaju rozbiliśmy nasze obozowisko. Raźnie postępowało wyładowywanie z bryczki przywiezionych zapasów, podrzucono drew do ogniska. Dopisywał apetyt po długiej i uciążliwej drodze, jak zwykle tem więcej grząskiej i przepaścistej, im grubszy zwierz stanowił objekt polowania. Słońce było jeszcze wysoko, Baltruk nie naglił z odejściem. Wyjąłem sztucer z futerału, włożyłem do kieszeni kilka ładunków. Obozowisko było gotowe do noclegu; usłano ze świerkowych gałązek posłanie nad niem od strony wiatru sporządzono małe przykrycie oraz przygotowano odpowiedni zapas paliwa na wrześniową noc.

Nie śpiesząc, ruszyliśmy w głąb lasu. Od głównych ostoi łosi przedzielało grząskie bagno pokryte olchą i łozą. Po oślizgłych, mchem zieleniejących kładkach, podpierając się kijami, szliśmy do ostępu. Już nisko nad horyzontem było słońce, gdy znów uczułem pod nogami twardy grunt długiej wyspy, wąskim pasem wrzynającej się w puszczę. Otoczył nas liściasty drzewostan, a dalej ciągnęły się trzęsawiska i moczary, porośnięte zwartą łozą i sitowiem.

Jak dwa leśne duchy przeszliśmy cicho wzdłuż ostrowia i w miejscu, gdzie rozwidlała się wyspa, usiedliśmy w konarach, zwalonej przez burzę, butwiejącej osiki. Dzień zamierał. Od zachodu świecił odblask zorzy, w gąszczach rodziły się cienie, zacierały się kontury drzew i krzewów, zlewając się w jedną mglistą całość, na tle której powstawały fantastyczne kształty. Głęboka cisza zalegała puszczę, gdy zawabił Baltruk. Potężne parsknięcie przeleciało ponad błotem, odbiło się głuchem echem o sąsiednią wyspę i zamarło w szuwarach. Upływała długa chwila wyczekiwania pożądanej odpowiedzi. Znów Baltruk przytknął do ust uwitą trąbkę z brzozowej kory i ciche stęknięcie poszło w las. Tym razem z głębi puszczy, ze środka dzikiego ostępu, przemówił łoś. Westchnienia silnych piersi stawały się coraz częstsze, coraz bliższe. Już wyraźnie słyszałem plusk wody pod silnemi racicami, szelest rozsuwanej łozy. Ze sztucerem u twarzy, zamarły w ruchu, przyczajony w konarach drzewa wypatrywałem upragnionej ciemnej sylwetki. Już rogal musiał być blisko, już — już z mgły i mroku wynurzy się niebawem przed lufą sztucera. Ale upływały chwile, drętwiały ręce trzymające broń w pogotowiu, a łoś jak w wodę zapadł — najlżejszy szmer nie zdradzał więcej jego obecności.. Zwietrzył i poznawszy zasadzkę, odszedł cicho, jak

widmo. Długo jeszcze pozostawaliśmy na naszej osice w oczekiwaniu, że łopaciarz oznajmi o sobie, ale daremnie — głucha cisza zaległa puszczę. Wypłynął księżyc i bladem światłem rozjaśnił wnętrze lasu. Powróciliśmy do ogniska.

Po czarce starej wódki rozgadał się Bałtruk i chociaż w znacznej części były mi już od dawna znane jego zapatrywania oraz przedziwne zdarzenia, jakie miewał w swem leśnem życiu, to jednak i tym razem słuchałem z uwagą tych jedynych w swoim rodzaju poglądów i nadzwyczajnych opowieści.

Stary był z natury odludkiem. Spędziwszy całe swe życie w puszczy, śród ukochanej przez niego przyrody, ptactwa i zwierząt, widział w ludziach największego ich wroga. Patrząc przez długi szereg lat, jak ustępowały lasy przed siekierą i wörującym się pługiem, jak zmniejszała się, pod wpływem przyrostu ludności, ilość zwierzyny, a już w jego oczach znikły niedźwiedzie i bobry, jak w zastraszającem tempie ubywało w rzece ryby, którą zawzięcie poławiał i która stanowiła jedno z głównych źródeł jego życia, jedyne radykalne zbawienie upatrywał w cholerze i wojnie.

Tylko te dwie plagi egipskie mogły jego zdaniem zmniejszyć zaludnienie i jak mawiał, „przywrócić porządek i polepszyć życie". W przeciwnym razie wszystko zginie, wszystko zdepczą ludzie. A gdy mu zwracałem uwagę, że od cholery i on może umrzeć, stary się nie przestraszył. Raz już podczas epidemji tej choroby (w r. 18) zajrzała ona do chaty jego rodziców. Ale ojciec znał zaklęcie, które przed śmiercią jemu przekazał. To też już wtedy wypędzono z chaty cholerę, a Bałtruk sam słyszał jak cholera, wlazłszy w ogrodzie do grochu rzewnie, a długo ze złości płakała. Nie z jedną cholerą miewał on do czynienia, z jednakowo dobrym skutkiem odpędzał od siebie złe duchy i leśne chochliki, które mu płatały złośliwe figle.

Raz w nocy, gdy wracał do domu, na równej drodze, w środku rozległej polany, zatrzymał się koń. Darmo Bałtruk popędzał, zadawał baty — koń chrapał, rzucał się w boki, a z miejsca nie ruszał. Wziąwszy kij w rękę, wysiadł wówczas z wozu, rozejrzał się dookoła, a zobaczywszy, że wilka niema na drodze, domyślił się sztuczki chochlika i zaklął. Nie wymówił jeszcze wszystkich słów sakramentalnych, jak już z pod kopyt konia w psiej postaci, tylko, że bez uszu i ogona, wyskoczyła „nieczysta siła" na drogę. Nie namyślając się długo, ściągnął ją kijem z całej siły po karku, że aż zadudniało, jak gdyby w bęben uderzył, a chochlik, nie spodziewając się tak brutalnego postępku Bałtruka, podskoczył do góry i zapadł się w ziemię.

Był też kiedyś świadkiem walki nieba z djabłami. Na odosobnionym ostrowiu, śród błota przy drodze stały dwa stare, próchniejące dęby, w których to chochlik obrał sobie mieszkanie. Wiedział Bałtruk o tem od dawna i zawsze przechodząc tamtędy, czynił znak krzyża i odmawiał pacierze. Raz w lecie, gdy tą drogą podążał, złapała go burza, — lunął deszcz, trzaskały pioruny. Gdy ukrywszy się pod świerczyną, oczekiwał przejścia strasznej chmury, olśniła go błyskawica i ze strasznym hukiem piorun w dąb uderzył, że aż zadygotały konary i posypała się kora, ale też i z dziupli w postaci kłębka wyskoczył chochlik, potoczył się po ziemi i ukrył w drugim dębie. Chybiło niebo za pierwszym strzałem, to też jak z dubeltówki, poprawiając pudło, do drugiego dębu wypalił drugi piorun, uśmiercając tym razem figlarza chochlika.

Gdy na mej twarzy wyczytywał stary powątpiewanie w prawdziwość tych opowieści, wówczas tłomaczył: od pierwszego dnia stworzenia trwa ustawicznie ta walka nieba z piekłem. Bóg, strąciwszy z nieba złych aniołów za pychę, przeznaczył im miejsce stałego pobytu w piekle, położonem wewnątrz ziemi, a więc, gdy który z jego lokatorów wywędruje na powierzchnię — Bóg za nieposłuszeństwo go karze, zabijając przy pomocy pioruna.

Przez całą noc bajał stary, opowiadając coraz to nowe zdarzenia: to mu orkiestra w głuchym lesie grała pod mostem, to ukazał się djabeł w postaci małego pieska, to chciał go zmylić i przyprawić o zabłądzenie, wołając ludzkim głosem, to znów innym razem zdybał flirtujących chochlików na wysokim świerku, że aż szyszki sypały się z drzewa.

Trudnił się też medycyną. Wynalazł jakąś trującą roślinę i stosował ją, jako generalny środek przeciwko wszelkim cierpieniom. Cudotwórcze działanie tego ziółka najzupełniej odpowiadało psychologji naszej wiejskiej ludności, ciążącej sobie wszelką przewlekłą chorobę; to też skoro było sądzone choremu wyzdrowieć, lekarstwo szło mu na zdrowie, jeżeli sądzone było mu umrzeć — skracało cierpienia, słowem w którąkolwiekbądź stronę, byle wyraźnie i prędko i byleby chory dłużej w domu nie stękał.

Oczywiście, że tylko druga kategorja chorych stanowiła klijentelę Bałtruka, a gdy mu raz zwróciłem uwagę, iż truje ludzi i że wielce karygodnem jest takie leczenie, spojrzał na mnie z politowaniem i odrzekł: „Panicz nic nie rozumie, toż jasne, że im umrzeć sądzono, bo gdyby który miał żyć, toby odrazu wyzdrowiał". Pomimo jednak tak widocznych i piorunujących skutków leczenia, rozgłos miał wielki i o kilkadziesiąt wiorst przywożono do niego pacjentów. Tak pewnym był swego środka, że gdy sam zachorował, nie wahał się przyjąć cudownego ziółka; po wypiciu w parę godzin już nie żył, a przekonany jestem, że i w tej ostatniej chwili nie zwątpił w cudotwórcze działanie lekarstwa.

Dziś jeszcze żyje pamięć o Bałtruku śród starszego pokolenia, z portretu pendzla Wyczółkowskiego uśmiecha się jego twarz szczeremi oczami dziecka, a duch błąka się po ukochanej puszczy.

Upływała jesienna noc. Z głębi moczarów dolatywało głuche hukanie puhacza, z rzadka przerywał ciszę skrzypliwy głos przelatującej czapli. Przy świetle księżyca przeszliśmy z powrotem drogę na wyspę. Czekaliśmy tym razem, zanim łoś nie oznajmi o sobie. Czas upływał, ustępował mrok, rzedniały mgły, budził się las, a łosie wciąż zachowywały głuche milczenie. Już dobrze dniało, gdy w końcu wyspy usłyszeliśmy tęskne „u—o". Bałtruk odpowiedział, łoś stękał, ale się nie zbliżał. Pozostawiwszy Bałtruka na miejscu, ostrożnie i powoli zacząłem podchodzić. Z łatwością skradając się po suchej wyspie, omijałem wykroty i zalomy, najmniejszym szelestem nie zdradzając swej obecności, jednak nie trwało to długo. Łoś stękał na drugim ostrowiu — trzeba było przejść przez bagno. O cichem posuwaniu się przez zwartą łozę i topieliska, nie mogło być mowy. To też gdy już upadła wszelka nadzieja przywabiania łosia, by zmylić czujnego rogala, ruszyłem głośno przez błoto, sądząc, że tak hałaśliwie i śmiało może się zbliżać tylko inny łoś; bywa, że ostrożny zwierz daje się podejść.

Już wysoko podniosło się słońce, gdy wyszedłszy na dużą haliznę, porosłą wysokiem sitowiem, ujrzałem przedmiot moich łowieckich zabiegów. O trzysta kroków przedemną przechodziły krokiem klempa z łoszakiem i piękny łopaciarz. Kroczyły wolno przez grząskie błoto, a tak lekko i równo, jak gdyby przechodziły po najsuchszej łące. O strzale na ten dystans, pomimo, że trzymałem w ręku pierwszorzędny sztucer, nawet nie pomyślałem. Szanse zabicia były bardzo małe, a płoszyć nieopatrznym strzałem uważałem za karygodne. Przyglądałem się więc trójce najgrubszej naszej zwierzyny, o kształtach przedpotopowej fauny — dzikich i niewspółczesnych, a tak imponujących i pięknych swoją brzydotą.

Bolesław Świętorzecki.

Dwa systemy w sprawie zupełnej ochrony cieciorki.

W polowaniu na cietrzewie możliwe jest do pomyślenia stosowanie dwóch systemów odstrzału: równomiernego kur i kogutów i wyłącznego samych tylko kogutów. Odstrzał kogutów uprawiany wyłącznie na toku z poniechaniem uprawiania wszelkich innych sposobów polowania na cietrzewie jest tylko jedną z form drugiego systemu, stosowaną tam, gdzie liczba cietrzewi, a w związku z tem i odstrzał, są niewielkie. Natomiast zbyt wielki pod względem liczby odstrzał kogutów na toku z punktu widzenia hodowlanego przez wszystkich poważnych autorów dzieł o hodowli zwierzyny jest osądzany jako nadmiernie niepokojący cietrzewie w czasie rozmnoży. U nas liczba cietrzewi w wielu okolicach jest jeszcze dość znaczna i sprawa wyłącznego strzelania cietrzewi tylko na toku w znacznej większości wypadków nie jest na szczęście aktualną. Z punktu widzenia przepisów ustawowych i ustalonej praktyki łowieckiej, za wyłączeniem obszaru b. zaboru austrjackiego (odstrzał kur jest tam całkowicie zabroniony, a letnie polowanie na cietrzewie otwiera się tam 31 sierpnia, co wyklucza omyłkowe strzelanie zarówno młodych jak i starych cieciorek) należymy do krajów, w których, szczególniej zaś na kresach, uprawiany jest system równomiernego w czasie dozwolonym odstrzału kur i kogutów.

Obowiązujące dotychczas na kresach przedwojenne łowieckie przepisy rosyjskie zezwalają na rozpoczęcie polowania na cietrzewie w ostatnich dniach lipca t. j. wtedy, gdy rozróżnienie młodych kur od kogutów jest faktycznie niemożliwe, a wskazania etyki myśliwskiej ograniczają się tam w najlepszym razie do zalecania ochrony starki. Polowanie na młode niewyfarbowane cietrzewie jest tam przez wielu myśliwych ze specjalnem zamiłowaniem uprawiane.

Czy system taki jest racjonalny, czy nienastręczające żadnych trudności mordowanie młodych kurcząt cietrzewich, przyczem ginie znaczna ilość młodych samic, jest godne prawdziwego myśliwego, nad tem nikt się dotychczas nie zastanawiał. Wielu z naszych myśliwych kresowych nie widzi nic w tem karygodnego. W sprawie tej dotychczas też nikt głosu nie podnosił. Wprawdzie koryfeusze literatury łowieckiej hodowlanej jak Sylva-Tarouca, a u nas Sztolcman, Korsak i inni, opierając się na dotychczasowych obserwacjach i doświadczeniu, stawiają wyraźnie zasadę, że kurę cietrzewia należy bezwzględnie ochraniać, nad zaleceniami temi jednak nasz świat łowiecki przechodzi do porządku dziennego i sprawą tą goręcej się nie interesuje. Potrafiliśmy uznać zasadę bezwzględnego ochraniania kozy i kury bażanciej, usiłujemy wynaleźć sposoby rozróżniania samicy zajęczej od samca; pioruny miotamy na uprawiających sposoby polowania na zające, przy których to sposobach istnieje szansa zabicia większej ilości samic niż samców, — na zabójstwo kury cietrzewiej patrzymy obojętnie.

Że cietrzew jest o wiele więcej cennym objektem myśliwskim, niepomiernie trudniejszym do rozmnożenia, wychowania i utrzymania w rewirze, niż bażant i zając, że tu właśnie najwięcej winnaby się zalecać kompletna ochrona samicy, przez samą naturę tak jaskrawo odróżnionej od samca, to wszystko nam jakoś nie przychodzi do głowy. Trudności polowania na dzikim terenie i rzadkie spotkanie z nieliczną zwierzyną wpływają widać na usposobienie myśliwego. Co spotka, chciałby koniecznie strzelać, a znaczne obszary terenów łowieckich i suggerowana przez to, niestety, daleka jednak od rzeczywistości myśl o znacznej na nich ilości zwierzyny, trudnej rzekomo tylko do spotkania, każą widać zapominać o względach hodowlanych.

Ilość cietrzewi na naszych terenach kresowych mimo znakomitych wprost pod wieloma względami warunków miejscowych, nietylko nie rośnie, ale raczej topnieje.

Jednocześnie okoliczność, że faktycznie zastosowany od kilku lat system bezwzględnej ochrony kury w odniesieniu do pokrewnego i bliskiego cietrzewiowi pod wieloma względami głuszca zaznaczył się powszechnym, szybkim i znacznym wzrostem jego ilości, daje dużo do myślenia. Warto więc pomyśleć, czy w praktykowanym obecnie względem cietrzewi systemie odstrzału jesteśmy na właściwej drodze.

Jeśli zdania znanych hodowców myśliwych nam nie wystarczają, udajmy się do logiki cyfr. Poniżej podane tabelki mają ustalić, jakie ilości cietrzewi powinnoby się osiągnąć po upływie trzechletniego stosowania każdego z omawianych systemów, od jednej pary młodych cietrzewi.

Zbudowane one są na następujących zasadach. Roczny przyrost kur i kogutów uznaje się za równomierny i ocenia się w pierwszej grupie tabelek na cztery, w drugiej na trzy sztuki rocznie. Jakkolwiek kura cietrzewia składa 5 — 14 jaj, to jednak większe ilości składają tylko stare cieciorki, a prócz tego ubytek skutkiem znanej nieostrożności cieciorki przy zakładaniu gniazda, niepomyślnych warunków atmosferycznych w czasie lęgów, zniszczenia przez drapieżniki i innych przyczyn, jest tak znaczny, że liczbę cztery rocznego przyrostu uważam raczej za wygórowaną. Przyjmujemy ponadto, że skutkiem wzmiankowanych przyczyn para cietrzewi, z którą rozpoczęliśmy hodowlę po upływie trzech lat — ginie. Wreszcie nie posądzając naszych domniemanych przeciwników o całkowite zaniedbanie względów hodowlanych, przyjmujemy, że przy pierwszym systemie zostaje odstrzelona połowa kur i kogutów, przy drugim — połowa kogutów.

Obszar rewiru we wszystkich wypadkach przyjmujemy jeden i ten sam i nie troszczymy się o to, że niektóre liczby wypadają nam w ułamkach. Przypuszczenia nasze oparte są na zdaniach takich znawców przedmiotu, jak Sylwa-Tarouca, Sztolcman, Korsak i inni. Gdyby nawet niektóre z nich, jak np. cyfrę rocznego przyrostu ilustrującą miejscowe warunki rozmnoży, wypadło przyjąć odmienne, to zmieni to tylko cyfry tabelek, w niczem zaś nie wpłynie na charakterystyczną dla obu systemów wymowę cyfr, o którą głównie chodzi. Takie okoliczności, że kogutów rodzi się według Sztolcmana, więcej niż kur, lub, że cięciorki skutkiem niebezpieczeństw, na jakie są narażone w czasie lęgów, giną w większej liczbie niż koguty, mogą tylko służyć jako dodatkowe argumenta na poparcie wywodów, które nam się z wyników tabelek nasuwają.

Wnioski, jakie się nastręczają z zestawienia wyników cyfrowych poniżej podanych tabelek, są pierwszorzędnej wagi, a logika cyfr nieodparta i zabójcza.

Widzimy, że przy znacznym stosunkowo przyroście rocznym (4), przyjętym dla pierwszych dwóch tabelek (I i 2) na początku czwartego roku po wykreśleniu pary, która dała początek rodzinie, liczba cieciorek i kogutów w wypadku równomiernego ich odstrzału wyrazi się przez liczby 2, 37, t. j. niewiele co więcej niż podwójnie, gdy w wypadku stosowania systemu odstrzału połowy rozporządzalnych kogutów, wyrazi się przez liczby 26 kur i 9, 52 kogutów. Przy przyroście 3 sztuk te same cyfry zostaną wyrażone (tabelki III i IV) przez 0,95 i 0,95 oraz 17,75 kur i 6,5 kogutów.

Liczba cietrzewi, którą będziemy mogli odstrzelić w ciągu 3 lat, wyrazi się przy przyroście 4 sztuk,

Tabelka I, roczny przyrost 4 sztuki, odstrzał połowy kur i kogutów.

	na początku roku		roczny przyrost młodych		razem przed odstrzałem		odstrzał		pozostaje na rok następny	
	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty
1 rok	1	1	2	2	3	3	1,5	1,5	1,5	1,5
2 rok	1,5	1,5	3	3	4,5	4,5	2,25	2,25	2,25	2,25
3 rok	2,25	2,25	4,5	4,5	6,75	6,75	3,37	3,37	3,37	3,37

Tabelka II, roczny przyrost 4 sztuki, odstrzał połowy kogutów.

	na początku roku		roczny przyrost młodych		razem przed odstrzałem		odstrzał		pozostaje na rok następny	
	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty
1 rok	1	1	2	2	3	3	—	1,5	3	1,5
2 rok	3	1,5	6	6	9	7,5	—	3,75	9	3,75
3 rok	9	3,75	18	18	27	21,75	—	10,87	27	10,87

Tabelka III, roczny przyrost 3 sztuki, odstrzał połowy kur i kogutów.

	na początku roku		roczny przyrost młodych		razem przed odstrzałem		odstrzał		pozostaje na rok następny	
	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty
1 rok	1	1	1,5	1,5	2,5	2,5	1,25	1,25	1,25	1,25
2 rok	1,25	1,25	1,87	1,87	3,12	3,12	1,56	1,56	1,56	1,56
3 rok	1,56	1,56	2,34	2,34	3,90	3,90	1,95	1,95	1,95	1,95

Tabelka IV, roczny przyrost 3 sztuki, odstrzał połowy kogutów.

	na początku roku		roczny przyrost młodych		razem przed odstrzałem		odstrzał		pozostaje na rok następny	
	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty	kury	koguty
1 rok	1	1	1,5	1,5	2,5	2,5	—	1,25	2,5	1,25
2 rok	2,5	1,25	3,75	3,75	6,25	5	—	2,5	6,25	2,5
3 rok	6,25	2,5	12,5	12,5	18,75	15	—	7,5	18,75	7,5

w pierwszym wypadku 14,25 kogutów i kur łącznie, zaś w drugim 16,12 samych kogutów. Pozornie więc ograniczając odstrzał, faktycznie, możemy odstrzelić więcej. W wypadku przyrostu 3 sztuk, te same pozycje wyrażą się cyframi 9,07 i 11,25. Stosunek kur do kogutów przedstawia się w pierwszym wypadku jak 1 do 1, gdy w drugim jak 1 do 3, t. j. odpowiada uznanemu za racjonalny. Gdyby go nawet uznać jeszcze za nadmierny, to nic łatwiejszego, jak przez powiększenie odstrzału kogutów doprowadzić go do potrzebnej normy. Gdy przy pierwszym systemie czwarty rok rozpoczynamy mniej więcej przy podwójnej ilości cietrzewi (przy przyroście 4 sztuk), a przy przyroście 3 sztuk nawet z tą samą tylko liczbą, to przy drugim systemie rozpoczynamy czwarty rok przy przyroście 4 sztuk, 26 kurami i 10.87 kogutami, a przy przyroście 3 sztuk — 17,75 kurami i 6,5 kogutami. Horoskopy na dalszą hodowlę oczywiście zupełnie różne. Gdy przy pierwszym systemie przyrost jest bardzo nieznaczny, albo żaden, i najmniejszy wypadek, tak łatwy w ciągu trzechletniego okresu czasu, może nam przekreślić wszystkie rachuby i całkiem zniszczyć przyrost lub nawet zwierzostan, przy stosowaniu drugiego systemu uzyskujemy tak znaczną liczbę cieciorek, że ewentualne działanie szkodliwych czynników przestaje być strasznem. Przy stosowaniu pierwszego systemu ogólna liczba cietrzewi kur i kogutów w czwartym roku jest znacznie mniejsza od liczby samych kogutów przy stosowaniu drugiego. Najważniejsze jest jednak tempo przyrostu ujawniające się w obu wypadkach. Gdy w pierwszym przy przyroście trzech sztuk rocznie przyrost ten nie jest żaden, a przy przyroście wielu sztuk, tempo to wyraża się w postępie arytmetycznym w ten sposób, że z roku na rok przybywa połowa ogólnej liczby cietrzewi z roku poprzedniego, to w wypadku odstrzału samych tylko kogutów przyrost ten idzie w tempie postępu geometrycznego, powiększając się z roku na rok trzykrotnie. Gdy wskutek tego przy pierwszym systemie ilość cietrzewi powiększa się w rewirze tylko powoli, albo wcale, i hodowca ciągle stoi pod grozą, że mogą mu one z lada powodu całkiem wyginąć, przy drugim osiąga on w krótkim czasie taką liczbę cieciorek w rewirze, że może być spokojny o szybki wzrost swego zwierzostanu. Liczebnie wzrasta on stale i ogólna cyfra jego dąży oczywiście nie do astronomicznych cyfr wyniku wyliczeń geometrycznego postępu, a do tej maksymalnej cyfry, która ze

względu na inne warunki rewiru jest dla niego możliwą.

Szanse spotkania na tym samym obszarze jakiegokolwiek cietrzewia przy pierwszym systemie stają się w krótkim czasie mniejsze, niż spotkanie koguta w drugim, gdyż w czwartym roku (tabelka 1) ogólna ilość cietrzewi i kur przy pierwszym systemie jest mniejsza, niż liczba samych kogutów przy drugim.

Wyniki rozważań powyższych obliczeń, jak widzimy, są druzgocące dla systemu strzelania kur i kogutów równomiernie. Stwierdzają one w jaskrawy sposób słuszność tezy bezwzględnej ochrony kury cietrzewiej, postawionej przez wyżej wymienionych autorów. Wyniki te dotyczą oczywiście tylko działania zresztą bardzo ważnego czynnika odstrzału. Działanie innych czynników, o ile pośrednio nie zostało objęte cyframi przyrostu, jest oczywiście zupełnie samoistne i może spowodować, że rzeczywistość nie odpowie przedstawionym wyliczeniom. W niczem jednak nie obala to słuszności wyłożonych tez i wywodów i potwierdza jedynie fakt, któremu nikt nie myśli zaprzeczać, że prawidłowy odstrzał jest bardzo ważnym, ale nie jedynym warunkiem hodowli. Podane wyżej tabele nie są też przepowiedniami od zielonego stolika, jakie ilości cietrzewi osiągnie się przy stosowaniu każdego z omawianych systemów odstrzału, lecz teoretycznemi wyliczeniami, jaką ich ilość przy danych warunkach od każdej pary dałoby się osiągnąć.

Na lutowem posiedzeniu Zarządu Centralnego Związku zasada bezwzględnej ochrony kury cietrzewiej została przyjętą. Jednak termin, od którego uchwalono rozpoczynanie polowania letniego na cietrzewie (1 sierpnia) ustanowiono zbyt wczesny i wypadnie go o dwa tygodnie przesunąć. Wcześniej niż przed 15 sierpnia nie można się spodziewać, aby we wszystkich stadkach młodych cietrzewi różnice między kurami a kogutami były tak jaskrawe, by bez obawy zabicia kury można było do nich strzelać. Sprawa ta jeszcze winna być poddana rewizji i rozważeniu na łamach pism łowieckich.

Teza bezwzględnej ochrony kury cietrzewiej i w związku z tem nierozpoczynania zbyt wcześnie letniego polowania na cietrzewie winna znaleźć swój wyraz zarówno w przepisach przyszłej ustawy łowieckiej, jak i w nakazach etyki myśliwskiej. Zastosowana niedawno w ustawodawstwie łowieckiem b. Galicji zaznaczyła się znacznym i szybkim wzrostem liczby cietrzewi. Herodowym rzeziom zbyt młodego ptactwa łownego, a szczególniej tak szlachetnego, jak cietrzewie, należy położyć kres. Pachnie to jeszcze tradycjami przestarzałego rosyjskiego ustawodawstwa łowieckiego z reguły dozwalającego rozpoczynanie polowania na każdy gatunek zwierzyny zbyt wcześnie. Nie mamy olbrzymich, leśnych obszarów północnej Rosji, byśmy sobie na takie przepisy łowieckie w stosunku do cietrzewia mogli pozwolić. Tak szlachetnego ptaka, jak cietrzew, winniśmy wszelkiemi siłami starać się rozmnożyć, tembardziej, że odpowiednich terenów posiadamy ogromne obszary. Że droga do tego nie prowadzi przez strzelanie kur cietrzewich, to chyba już obecnie nie powinno nastręczać wątpliwości. Na morderstwo kury cietrzewiej nasz świat łowiecki winien patrzeć się takiem okiem, jak na morderstwo kury bażanciej, głuszycy, lub kozy.

Walenty Włodz. Garczyński.

W Peczorskiej tajdze.

(Zob. № 18.)

Po polowaniu czekał nas tam dłuższy i rzetelnie zarobiony wypoczynek. W obszernych izbach domostwa zamożnego osadnika Trofima Iwanowa znaleźliśmy nietylko czystość, wzorowy porządek, miłe ciepło, lecz wszelkie wygody, pewien nawet zbytek, stwierdzający zamożność i dostatek, czego w tak zapadłym kącie, w dalekiej, dzikiej tajdze, o setki wiorst od świata cywilizowanego oddalonej, nie spodziewałem się znaleźć. Trofim I. słynął z zamożności swojej i gościnności, a rozgłos o niej nie był pustym frazesem. Znaleźliśmy u niego wygodne, czyste łoża, zasłane haftowanemi kapami, puchowemi poduszkami, w rogu stał złoty „Kiot“ z siwym św. Mikołajem „czudotworcem“ brodatym, rzędy obrazów w świecących ramach zdobiły ściany, nie brak było carów, bitwy pod Połtawą i kilku scen z życia myśliwskiego. Nad łożami wisiały miękkie, wzorzyste dywany, kilimami grubymi była wysłana cała podłoga, w oknach zawieszone przezroczyste firanki. W pośrodku obszernej komnaty stał długi stół, nakryty bieluchnym obrusem, a na miedzianej tacy na środku parskał, sapał i mile śpiewał błyszczący, pękaty samowar tulski od wczesnego poranku do późnej nocy, a miły aromat chińskiego ziela łechtał nasze podniebienie i zaostrzał pragnienie. Karmiono nas obficie i smacznie, jak na ubój. Była to niedziela „maslanicy“ ruskiej, obfitująca w wyszukane specjały, a więc gorące, gryczane lub pszenne bliny, suto masłem i śmietaną zalewane, nieodzowny kawior, przeróżne gatunki ryb i śledzi, tradycyjny piróg z jajami i siekaną rybą, serniki i wiele innych smakołyków. Gościnny gospodarz z niskim pokłonem przepijał do nas przy każdej strawie „popowkoj“, snadź hołdował płynom rozgrzewającym, myśmy też nie wylewali boskiego daru za kołnierz. Z wdzięczności za doznaną gościnność pozwalam sobie wspomnieć kilku słowami o poczciwym Trofimie i jego ślicznej żonie. Trofim średnich lat mężczyzna, sympatycznego oblicza, rumianej twarzy o blond zaroście i gładkiej czuprynie, był silnej, krępej budowy, dość otyły, flegmatycznego usposobienia i ociężałych ruchów. Zawsze poważny i gotów do usług. Kontrastem jego była piękna Nadieżda Warłamowna. Wysoka, smukła o zgrabnej figurze, blondyna. Śpiewny głos, piękne włosy blond, różowe usteczka, dopełniały uroku i wdzięku tego świeżutkiego kwiatka wiosennego, zabłąkanego w ponurej tajdzie, wśród dzikich zwierząt i dzikich ludzi.

Po 48-godzinnym pobycie w domu poczciwych Iwanowych wyjeżdżamy z pod ich strzechy z miłemi wspomnieniami. W jednej z wiosek, przez które przejeżdżaliśmy, stary leśnik zastąpił nam drogę, meldując „naczalstwu“ o niedalekim barłogu. Marceli zaordynował małe polowanie bez naganki, o którą tu było zresztą trudno. Prowadzi nas stary wilk tajgowy, chudy, jak niedźwiedź zarosły, przygarbiony 85-letni starzec, dozorca tego rewiru. Niezbyt odległa od naszej drogi tajga była najwspanialszą, ale zarazem najdzikszą, jaką kiedykolwiek widziałem. Bliźniaczo do siebie podobne sosnowe kolosy stały w zwartych szeregach, jak sprawni żołnierze w szyku bojowym, wsparte o siebie ramionami, głowami czubatemi do obłoków sięgające. Uroczysta cisza, spokój niczem nie zakłócony przerażał martwotą i ponurością straszną. Zdawało się niekiedy, iż to jakieś olbrzymie cmentarzysko. Nie śmieliśmy nawet szeptem zakłócać majestatycznej powagi i ciszy. Szliśmy śladem przewodnika, który dotąd kroczył raźnie przed nami, lecz po godzinie zaczął marudzić, często przystawał, spoglądał w górę, szukał wzrokiem jakichś znaków na drzewach, drapał

się po łbie kudłatym i po innych mniej przyzwoitych miejscach, spluwał coraz częściej po za siebie i zwalniał kroku. Marceli nie żałował epitetów, naglił ciągle starca, na co ten spokojnym odpowiadał zawsze jednakowym frazesem „wot uże niedaleko bariń". Jako też było rzeczywiście blisko. Byliśmy jednak tak już wyczerpani długą drogą i człapaniem po miękkim śniegu głębokim i ciągłem w nim zapadaniem, że z radością zgodziliśmy się na zaproponowany nam wypoczynek przez Marcela i krótki posiłek zapasami, danymi nam przez piękną Nadzieżdę, o wypiciu zdrowia której naturalnie przy tej okazji nie zapomnieliśmy.

Około 1-ej stanęliśmy w głębokim jarze, czy wąwozie — zawalonym po brzegi śniegiem, z pod którego sterczały i wyciągały straszne ramiona powalone olbrzymy drzewne, jakby wołające o ratunek. Ustawieni w półkole, którego środek zająłem ja z Marcelem, z niecierpliwością wyczekujemy hasła osaczników i psiego skowytu. Zwierz był czujny, bo zaledwie psy zaszczekały i tyką go żgnięto— ryknął w kotlinie złowieszczo i osypany pyłem śnieżnym runął na atakujące go zwinne łajki. Równocześnie strzeliliśmy do niego z Marcelim z dwóch stron, lecz w głębokim śniegu zaledwie widziałem jego grzbiet ciemny. Wstrząsający borem ryk odpowiedział na nasze strzały. Raniony ciężko rzucił się na Marcela, lecz psy zastąpiły mu drogę, a Marceli przypuścił go zaledwie na parę kroków, a w chwili, gdy zwierz stanął na tylnych łapach, strzelił powtórnie. Zwierz przysiadł, zerwał się jeszcze, lecz moja kula dobiła go i zwalił się z jękiem. W tym czasie osacznicy wypędzili z legowiska rocznego niedźwiadka — za którym zajadłe łajki pobiegły ze strasznem ujadaniem i wrzaskiem. Skowyt psów żałosny przekonywa nas o zaciętej walce młodego zwierza z psami, więc biegniemy im na pomoc. Pod wykrotem znajdujemy malca, zacięcie broniącego się przed psami, z których najzacieklejszy ze straszną raną, tarzał się w śniegu. Zabiegi złapania krnąbrnego zwierza żywcem nie udają się naszym ludziom i po wielu próbach okaleczony, Tereszko przebił go rohatyną, psy dokonują reszty. Niedźwiedzica, (zapewne matka niedźwiadka), była wspaniałym okazem o pięknem futrze ciemno-burem. Był to ostatni tryumf naszych polowań, poczem już śpiesznie powróciliśmy do swych domów i obowiązków.

Wł. Czerniejewski.

POINTER.

JEGO WYCHOWANIE, TRESURA, CHOROBY I LECZENIE.

(Zob № 18.)

4. Chodzenie na otoku.

Do wyrobienia w wyżle naszym spokojnego chodzenia na otoku za nogą, przystępujemy już wówczas, gdy umiejętność ta okaże sie w czasie jego układania wcześniej nam potrzebna, a więc wtedy, mianowicie, pies nasz spokojnie za nogą na otoku kroczyć już powinien, gdy przystępujemy do końcowego aktu wyrobienia w nim bezwzględnego posłuszeństwa na wolności (w publicznym ogrodzie i t. p.), co było już szczegółowo omówione w rozdziale poprzednim.

Przystępując do tej wcale nietrudnej nauki, zakładamy psu obrożę dławiącą (bez kolców), przyczepiamy do niej cienki, mocny łańcuszek, a nie otok skórzany, by psu odrazu udaremnić wszelką, kuszącą go chęć odgryzienia się z uwięzi i udajemy się z pieskiem na spacer.

Naturalnie, zacznie mały nasz uczeń natychmiast rozpaczliwie się szarpać, na grzbiet przewracać, tarzać po ziemi, skomleć i t. p. Wszystko to wówczas mało nas wzruszać powinno! Kroczymy jaknajspokojniej bez przerwy dalej, trzymając zaś łańcuszek mocno w lewej ręce, wleczemy naszego uparciucha bez ceremonji za sobą i przemawiamy doń wciąż **jaknajłagodniej**, a gdy nareszcie uspokoi się nieco i postępować za nami posłuszniej już zacznie — chwalimy go i głaszczemy.

Pierwszą tę lekcję przeprowadzamy bez żadnych narazie pobocznych świadków, przedłużając ją najwyżej do 10-ciu minut, a po kilku podobnych ćwiczeniach, pojmie nasz piesek należycie, o co właściwie tu chodzi i gdy następnie spokojnie przy nas kroczyć się nauczy, wtedy przystępujemy do dalszego udoskonalenia tej umiejętności.

Każdy wyżełek posiada pewną już skłonność do wybiegania naprzód przed swego pana, na czem też polega dalsza jego czynność, w czasie samego już polowania. Przyuczyć więc odrazu psa naszego musimy do spokojnego kroczenia tuż za naszą nogą (lewą), gdy na otoku mamy go przy sobie. W tym też celu, gdy tylko psiak naprzód wysunąć się zechce, wołamy nań: „za nogą!", uderzając go jednocześnie lekkko po karku, trzymanym w prawej ręce batem myśliwskim, a w ten sposób prędko wyuczymy go, by prawidłowo jednak za nami kroczył.

Wyuczenie tej umiejętności w psach młodych, zazwyczaj bardzo łatwo nam przychodzi, gdy natomiast psy starsze, a już znarowione i krnąbrne, naukę tę cokolwiek nam utrudniają. Gdy więc takiego psa w ręce nasze dostaniemy, zakładamy mu odrazu dławiącą obrożę i bierzemy go wpierw na łańcuch do budy. Po kilku dniach zamieniamy obrożę dławiącą na kolczastą i przeprowadzamy tresurę w ten sam zupełnie sposób, jak to już poprzednio, przy układaniu psów młodych, było omówione.

Główną przyczyną, że psy dość łatwo tego się uczą, jest to mianowicie, że w czasie tych ćwiczeń czują się zawsze w pełnej naszej mocy, jednakże świadomość tego trwa zazwyczaj w piesku tak tylko długo, jak długo na otoku przy sobie go trzymamy, a nadzwyczaj prędko o tem zapomina, gdy go z otoka spuścimy.

A więc ten właśnie otok, jest już sam przez się znakomitym środkiem i za każdym razem winien być przez nas umiejętnie użyty, gdyby nasz wyżeł jakikolwiek błąd popełnił, lub popełnić zamierzał. Dlatego też zawsze nosić otok przy sobie trzeba! Wkrótce umiejętność chodzenia za nogą tak w psie wyrobimy, że już bez pomocy otoka, a na cicho wyrzeczony przez nas rozkaz „za nogą!", natychmiast powraca i spokojnie przy nas już kroczy, zanim rozkazu „naprzód!", znowu nie usłyszy.

Tak samo miejmy przy naszym pasie zawsze przyczepiony bacik myśliwski, którego widok, należyty respekt w psie naszym wzbudza, a dlatego powstało przysłowie: „chcesz psa swego nie bić — noś bat przy sobie".

W ten sposób wychowany przez nas pointer, mniej więcej 8—9 miesięczny, wyuczy się następnie względnie łatwo i reszty wymaganych od niego umiejętności, do których urobienia przystąpić jeszcze musimy, by go dla naszych myśliwskich celów należycie wyszkolić.

B. Układanie w polu.

Pointer, od małego przez nas wychowany wedle omówionej tutaj metody, przywykł już do czystości pokojowej, waruje na bliższe i dalsze od nas odległości, stał się posłusznym, oraz na rozkaz, kroczy poprawnie za nogą. Tego wszystkiego nauczyliśmy go względnie nawet łatwo, w ciągu mniejwięcej 8—9 miesięcy jego istnienia. Nim więc przystąpimy do właściwej już jego tresury, zabierzmy go wpierw kilka razy w pole, by i ze zwierzyną móc go wreszcie zapoznać, a przy tej okazji jego drzemiące, wrodzone skłonności — nieco rozbudzić. W czasie tych właśnie wycieczek, przekonamy się łatwo, co mianowicie nasz uczeń na przyszłość rokuje i czy poniesione przez nas dotychczasowe i przyszłe jeszcze trudy, nam się opłaca.

Jest to teorja zupełnie nieodpowiednia, a przez wielu myśliwych jednak zalecana, by nie brać psa z sobą w pole, zanim całkowitej tresury z nim nie odbędziemy. Podobnem postępowaniem krępowalibyśmy, zupełnie niepotrzebnie, szybki a właściwy rozwój jego wrodzonych zdolności. Coprawda, biorąc go w pole wcześniej, narażamy się naturalnie i na to, że może nam poskoczyć, zupełnie niespodzianie, za pomykającym zającem, lub wzlatującemi kurami, lecz niema to, jak dla nas, żadnego już ważniejszego znaczenia, wyrobiliśmy bowiem w piesku już przedtem, a dobrze, umiejętność warowania i bezwzględnego posłuszeństwa, z łatwością więc opanować będziemy tu mogli wszelkie jego, najniestosowniejsze nawet, młodzieńcze wybryki!

W każdym bądź razie, powinniśmy w czasie tych polnych wycieczek, o ile możności, starać się zawsze, by pies nasz, jaknajmniej miewał okazji do popełniania podobnych niestosowności, a dlatego też, podczas następnych polnych spacerów, winien być zawsze brany na otok, jeśli zauważymy, że dostatecznie już ze zwierzyną zapoznać się zdołał i w uganianiu się za nią, zanadto zasmakował. Podczas tych właśnie wycieczek, powinniśmy z psem naszym, w miarę możności i potrzeby, powtarzać wszystkie, znane mu już dotąd ćwiczenia, w zakres warowania i posłuszeństwa wchodzące, by go i w polu do poprawnego warowania, oraz bezwzględnego posłuszeństwa przyuczyć.

By móc w naszym pointerze, przed ostatecznem jego ułożeniem, zawczasu wyrobić pewnego rodzaju podwalinę do zmyślnej, a rozważnej jego pracy w czasie przyszłych polowań, zabieramy go więc jeszcze kilkakrotnie w pole, w tym mianowicie czasie, gdy kuropatwy łączyć się w pary zaczną i do gnieżdżenia wkrótce przystąpić zamierzają.

Ten właśnie moment jest dla naszego pointera najlepszą szkołą, mamy bowiem wówczas doskonałą okazję, by już przed rozpoczęciem się myśliwskiego sezonu, zawczasu móc w nim wyrobić jaknajlepsze szukanie (okładanie), zupełnie pewną stójkę (wystawianie), kompletny spokój jego na widok pomykającego zająca, jaknajlepsze posłuszeństwo, oraz spokojne zachowywanie się po strzale (przywarowanie).

Jak do powyższego zabrać się należy, poniżej streszczę.

(C. d. n.) *Emil Karney.*

Wskazówki na październik.

W pobliżu lasów, zabudowań folwarcznych lub leśniczówek, na pochyłościach zwróconych ku południowi, gdzie ostry wiatr północny nie wieje z całą siłą, składa się kartofle, buraki, brukiew i t. p. w kopce. W miejscach, gdzie zwierzyna lubi wychodzić na żer, należy zostawić w ziemi rzepę pastewną i buraki pastewne. Zwierzyna wykopuje je sama. Miejsca te dobrze jest zabezpieczyć od zawiei śnieżnych płotami z trzciny lub z gałęzi sosnowych. Jeżeli podobne urządzenia wykonane zostały praktycznie, wówczas dostarcza się zwierzynie nietylko paszy, ale zmusza się ją do trudu wydostawania okopowizny z ziemi, przez co zwierzyna nie wędruje do sąsiadów, gdzie może być narażoną na nocne strzały kłusowników.

Kukurydza dojrzała już i może być ścięta. Koński ząb ścina się i ustawia w kopki kształtu piramidalnego. Dobrze jest część końskiego zębu pozostawić na zimę jako remizę. Bażanty i zające przebywają tam chętnie, a kuropatwy znajdują schronienie przed jastrzębiami. W bezleśnych okolicach polne sarny również znajdują ukrycie w kukurydzy. Nie należy się zrażać tem, że lisy ściągają do pozostawionych na zimę kwaterek końskiego zębu, lub łubinu. Ułatwia to urządzenie małej naganki i upolowanie lisa. W ten sposób usuwa się drapieżnika — a zwierzyna do remiz powraca. — Ponieważ lisy w polach najczęściej chodzą bruzdami lub przegonami, można to wykorzystać i lisa złapać w żelazo. W tym celu przed żelazem w takim rowku czy przegonie, należy położyć spory kamień. Lis przeskakuje przez taką przeszkodę i najczęściej wpadnie w żelazo. Październikowa skórka z lisa jest doskonałą i nadaje się do wyprawy.

Po wykopaniu okopowych, należy zebrać pozostałą po kartoflach, burakach, marchwi i t. p. nać i rozrzucić na kompostach. Wogóle wszystkie odpadki zbiorów, których dostarcza październik, są bardzo cenne. Zebrana nać kartoflana przedstawia znakomity środek nawozowy dla łąk. Nać pozostawia się przez całą zimę na łące. Śnieg, deszcz i wpływy atmosferyczne rozkładają części składowe naci oraz związki potasu, użyźniając w ten sposób cennymi sokami łąkę. Na wiosnę zgrabia się pozostałe resztki naci, używając je jako ściółkę, lub też pali na miejscu.

Należy zbierać jarzębinę, która teraz jest dojrzała, przechowywać ją w suchem, przewiewnem miejscu, inaczej pokrywa się pleśnią. W mokrym roku powinno się baczyć, by wody stojące na polach i łąkach, starannie były spuszczone. Nietylko bowiem woda wierzchnia, ale i zaskórna wypłukuje z ziemi znajdujące się pożywne soki, co przyczynia się do słabej wegetacji na wiosnę.

W tym miesiącu należy pamiętać również o uprzystępnieniu zwierzynie półek hodowlanych. Zwłaszcza jelenie, w czasie kiedy odbywa się ruja, potrzebują obfitej paszy. Sarny powinny już wiedzieć, gdzie w tym czasie mogą zastać stół zastawiony. Często bowiem w listopadzie mamy już mrozy i śniegi. Słabe jeszcze młode sarenki oswajają się z paśnikami, w których znajdą pożywienie, gdy im głód dokuczy.

Z polowaniem na bażanty najlepiej się wstrzymać aż do listopada. O tym czasie dopiero koguty są zupełnie wyrośnięte. W listopadzie, kiedy liście już opadną i trawy powiędną, łatwiej jest wypłoszyć nagance koguty z zarośli i odszukiwać postrzałki. Chcąc zdobyć coś dla kuchni, można strzelać koguty przebywające zdala od bażantarni.

Bekasy i słonki przed odlotem są bardzo tłuste. Namiętni łowcy słonek przeszukują z wyżłem znane im miejscowości. Najulubieńszem miejscem pobytu słonek o tej porze są laski, śród których znajdują się błota i mokre łąki. Trzeba wszakże polując w ten sposób, przedsięwziąć duże środki ostrożności, gdyż szybko wyciekająca słonka daleko zrywa

się przed psem i strzał uniemożliwia. Na słonki w październiku lepiej jest polować z naganką. Kszyki w wielkich ilościach ściągają na spuszczone stawy.

Dzikie gęsi ciągną też w październiku, zapadają one często na polach zasianych oziminą, można wtedy spróbować podjechać je ze sztucerem na wozie, lub podejść ze śrutówką, idąc pod wiatr głębokim rowem.

Futra ze zwierząt drapieżnych pod koniec tego miesiąca są już zupełnie dobre, należy więc po wysuszaniu oddawać je do wyprawy.

Kalendarz myśliwski.

W październiku wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerialny (dla b. Kongresówki), dekret Wydziału Obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego), lub Władzy powiatowej (dla Małopolski):

W b. Kongresówce: na łosie (byki), na jelenie (byki), na daniele (byki), na rogacze, na zające, na cietrzewie (koguty, kury i młode), na jarząbki (koguty i kury), na bażanty (koguty, a na kury tylko w tych miejscowościach, gdzie są urządzone i prowadzone bażantarnie), na kuropatwy, na przepiórki, na słonki, na dzikie kaczki (kaczki i kaczory), na dzikie gęsi, na łabędzie, na żórawie, na siewki, na kszyki, na bekasiki, na derkacze, na bataljony, na kuligi, na dzikie gołębie, na drozdy (kwiczoły i paszkoty).

W b. Zaborze Pruskim: na jelenie (byki), na łanie i na cielęta jelenie (od 16 października), na daniele (byki), na danielice i na ich cielęta (od 16 października), na borsuki, na zające, na cietrzewie, na jarząbki, na bażanty, na kuropatwy, na przepiórki, na pardwy szkockie (grousy), na dzikie kaczki, na bekasy, na dropie, na łabędzie, na żórawie, na kuligi, na derkacze oraz na wszelkie inne ptactwo błotne i wodne, a więc i na dzikie gęsi.

W Małopolsce: na kozły, na jelenie (byki), na zające, na jarząbki, na cietrzewie (koguty), na głuszce (koguty), na kuropatwy, na bażanty (koguty i kury), na przepiórki, na dzikie gołębie, na dropie, na strepety, na kszyki, na kulony, na bataljony, na dzikie gęsi i na dzikie kaczki.

Uwaga: Przepis ten nie stosuje się do polowań urządzanych w zamkniętych zwierzyńcach, gdzie przeto wolno jest polować przez rok cały.

Na Kresach: (według Ustawy „Zakon ob ochotie 3 fewrala 1892 goda): na łosie (byki), na jelenie (byki), na rogacze, na głuszce (koguty i kury), na cietrzewie (koguty i kury), na słonki, na dzikie gęsi i łabędzie, na dzikie kaczki, na bekasy, na bekasiki, na kuligi, na czajki, na derkacze i na wszelkie inne wodne i błotne ptactwo, na kuropatwy, na bażanty, na zające, na dropie, na strepety, na przepiórki oraz na wszelkie drapieżniki.

Uwaga. Do drapieżników zalicza się: niedźwiedź, wilk, lis, szakal, borsuk, piesiec, tchórz, łasica, wydra, norka, gronostaj, kuna, rosomak, ryś, żbik i wiewiórka. Do ptaków drapieżnych: orzełbielik, sokół, raróg, wszystkie jastrzębie, sroka, kruk, wrona, kawka, sójka, orzechówka, srokosz, puhacz, sowy i wróble.

Uwaga ogólna. Przypominamy czytelnikom naszym, że Zjazd Delegatów i Członków Zarządu Centr. Związku Pol. Stow. Łowickich na posiedzeniu w listopadzie 1925 r. ustanowił terminy ochronne, które obowiązują **moralnie** członków wszystkich Stowarzyszeń Zjednoczonych, (n. b. o ile terminy te nie naruszają terminów ochronnych, przewidzianych przez ustawę łowiecką danej dzielnicy). Według więc terminów związkowych **zające** wolno jest strzelać dopiero od 15 października, **bielaków** niewolno jest strzelać przez cały miesiąc październik; **głuszców** (kur i młodych) niewolno jest strzelać przez cały rok; **kur cietrzewi** niewolno strzelać przez cały rok; **kur bażantów** — niewolno strzelać przez cały rok (wyjątek stanowią kury bażancie hodowane w bażantarniach). O ile Towarzystwo Związkowe dowie się, że który z jego członków narusza powyższe przepisy, to **może** wykreślić go z listy członków.

Wiadomości bieżące.

Z żałobnej karty.

W majątku swoim Derewni w Małopolsce zmarł ś. p. **Tadeusz Starzyński**, b. poseł na gal. sejm krajowy, członek Małopolskiego Tow. Łow., marszałek pow. żółkiewskiego, urodzony w 1856 roku. Zmarły był zamiłowanym myśliwym-hodowcą.

Żądania ochrony.

Delegaci Małopolskiego Tow. Łow. zwrócili się do starostwa skałackiego z żądaniem: 1) zamknięcia polowania na wszelką zwierzynę, z wyjątkiem ptactwa wodnego i błotnego, oraz drapieżników w gminach Krzywe, Malinówka, Chmieliska, Turówka, Tarnoruda, Faszczówka, Krasne, Sadzawki i Stawki od 1.X r. b. do 1.X r. 1927; przedłużenia zakazu polowania na sarny i kuropatwy na dalsze dwa lata. Dalej delegaci domagają się większej ostrożności przy wydawaniu kart na broń myśliwską, oraz żeby organy policyjne bacznie przestrzegały tępienia kłusownictwa i konfiskaty broni.

Wypadek przy kupnie broni.

W Bydgoszczy w składzie sprzedaży komisowej p. Helena Chojnacka, pracująca w charakterze ekspedjentki w tym składzie, podczas demonstrowania rewolweru typu „Mausera", zabiła przypadkowo Józefa Czarneckiego, lat 27, który zamierzał rewolwer ten nabyć. Ów skład komisowy nie posiadał pozwolenia na handel bronią i przechowywał broń palną wbrew rozporządzeniu, które zabrania handlu bronią składom komisowym.

Śmierć z ręki kłusowników.

Ze Stryja, w Małopolsce Wschodniej, donoszą, iż w lesie Grabówka, pod Kałuszem, zastrzelony został Michał Jaślarz, gajowy lasów państwowych. Padł ugodzony jedną kulą w brzuch, drugą w udo. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło, iż śmierć poniósł z ręki kłusowników leśnych. Aresztowano domniemanego sprawcę zabójstwa, niejakiego Michała Małkowica.

Zawody strzeleckie.

Z braku miejsca dotychczas nie zamieściliśmy wyników strzelania konkursowego we Lwowie, które obejmowało także nagrodę Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich. Obecnie więc podajemy w możliwie najkrótszem streszczeniu owe wyniki:

I z pistoletów na 25 m. 1) por. Borzemski 790 na 1000 możliwych, 2) por. Podoski 740; 3) E. Barański 650.

II do tarcz stałych na 100 kroków: 1) E. Barański 210 na 350, 2) kadet Gutowski 190, 3) J. Drohoyowski 185.

III na 300 kroków przez lunety: 1) St. Pieńczykowski 175 na 350, 2) St. Reichard 160, 3) E. Barański 155.

IV z broni małokalibrowej na 50 metrów: 1) J. Drohoyowski 880 na 1000, 2) J. Podoski, 3) T. Barański 870.

V do tarczy ruchomej, dzika, na 100 kr. (nagr. Centr. Zw. P. Stow. Łow.): 1) J. Onyszkiewicz 21 na 25, 2) por. Podoski 18, 3) mjr. Misiński 16.

VI do dzika w dublecie na 100 kr. (nagr. Pol. Tow. Łow. w Warszawie): 1) E. Barański 37 na 50, 2) por. Borzemski 35, 3) A. Kapliński 31.

VII do lisa na 100 kr.: 1) J. Onyszkiewicz 16 na 25, 2) E. Barański 15, 3) T. Kownacki 12.

VIII, seniorów, do dzika na 100 kr.: 1) K. Marmoross 17 na 25, 2) St. Pieńczykowski 15, 3) Alb. Mniszek 14.

IX, juniorów, do dzika na 100 kr.: 1) W. Daniecki 12 na 15, 2) A. Dunin 8, 3) M. Szuwalski 6.

X śrutem do rzutków: 1) J. Drohoyowski 9 na 10 (strzałów 13), 2) Dr. Buczka 8 (14), 3) Al. Ostrowski 7 (13).

XI dublet do dzika i lisa: 1) E. Barański.

XII zwycięzców, o mistrzostwo: 1) J. Drohoyowski.

XIII do dzika na 100 kr.: 1) J. Onyszkiewicz.

W Krakowie.

W dniach 10 i 11 z. m. odbyły się na terenie D. O. K. V (Kraków) zawody strzeleckie zespołami o mistrzostwo wojska polskiego. Każdy zespół składał się z 6-ciu strzelających. Wyniki zawodów są następujące: Pierwsze miejsce uzyskał zespół 4-ty P. S. P. w składzie: starszy sierżant Antoni Piskozub, sierżant Franciszek Rzyman, plutonowy Michał Łaciak, st. strzelec Grzybek, st. strzelec Stokłos, st. strzelec Lenard. Zespół uzyskał 690 punktów, drugie miejsce uzyskał zespół 25 p. p. — 652 punkty, trzecie miejsce zespół 67 p. p. — 623 punkty.

W zawodach strzeleckich dla oficerów pierwsze miejsce zajął zespół 4 p. p. leg., drugie — 25 p. p., trzecie — 4 p. strz. podch., czwarte — 26 p. p.

Drobiazgi myśliwskie.

*** Zmyślność psów.**

Dwaj badacze niemieccy, Pfungst i Mort, przez niezmiernie ścisłe i dokładne doświadczenia ustalili prawdziwą granicę zmyślności psów. Wyniki badań tych ogłoszono w Beiträge zur Frage der Verwendung von Hunden in Kriminaldienst". Ogółem wykonano 132 doświadczenia, w których psom postawiono następujące zadania: 1) Odnalezienie śladu po upływie 4 godzin, 2) rozpoznanie człowieka, podług śladów, które zostawił, 3) rozpoznanie człowieka z przedmiotu, który do niego należy, i odwrotnie. Otóż ze wszystkich tych doświadczeń zaledwie pięć dało wyniki zadawalające, pozostała zaś ogromna większość zakończyła się zupełnem fiaskiem i okazała, że nasze pojęcie o psiej mądrości było mocno przesadzone, a polegać na niej w żadnym razie nie wolno.

Odpowiedzi redakcji.

P. Hr. Włodzim. Dzieduszyckiemu. Znakomity traktat o sokolnictwie znajdzie Pan Hrabia w książce naszego wielkiego ornitologa, Kazimierza Wodzickiego p. t. **O sokolnictwie.** Dzieło to jest wyczerpane od lat 60-ciu, ale niewątpliwie znajdzie się po bibljotekach lwowskich, a także w księgozbiorze Muzeum im. Dzieduszyckich. Pisał też obszernie o sokolnictwie nasz redaktor, Jan Sztolcman w pierwszym roczniku (z 1899 r.) „Łowca Polskiego", czerpiąc częścią z dzieła Wodzickiego, a częścią z Brehma i innych. W obu tych pracach są omawiane szczegółowo sposoby układania sokołów.

P. Władysławowi Gürtlerowi. Uzupełnienie referatu WPana o bieliku otrzymaliśmy i postaramy się go włączyć do całości. Opóźnienie w drukowaniu Pańskiej pracy nastąpiło nie z naszej winy, a tłomaczy się tem, że dawniej ta sama ilość artykułów znajdowała pomieszczenie w dwu pismach, obecnie zaś — w jednem i dzięki temu następuje zwłoka.

PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł., kwartalna — 6 zł. Numer pojedyńczy — 1 zł. 20 gr.
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 120; pół. — 70; ¼ — 40; ⅛ — 24; 1/16 — 12. Przed tekstem — o 50% drożej.
(Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej.)

Redakcja zastrzega sobie swobodę czynienia poprawek i skrótów rękopisów nadsyłanych, oraz nie zwraca tychże.
Redaktorzy przyjmują w środy od g. 6 do 7 wiecz. w lokalu redakcyjnym.

KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. ADRES: NOWY - ŚWIAT Nr 35. TELEFON 7-98

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Julian Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich**

Tereny łowieckie.

W dniu 19 października 1926 roku, o godzinie 12-ej w południe w lokalu Dyrekcji Lasów Państwowych w Siedlcach odbędzie się ustna i za pomocą ofert pisemnych — licytacja na wydzierżawienie terenu łowieckiego w lasach Nadleśnictwa Mielnickiego, stanowiącego objekt „Mętna" — o powierzchni około 1847 ha, na czas do 1 marca 1930 roku.

Cena wywoławcza 0,20 zł. od ha rocznie.

Wymagane wadjum = 37 złotych; kaucja przy zawieraniu umowy 10% zaoferowanej rocznej tenuty dzierżawnej.

Bliższych informacyj udziela Dyrekcja w godzinach urzędowych.

**Dyrekcja Lasów Państwowych
w Siedlcach.**



SPÓŁKA AKCYJNA

P O L E C A J Ą:

NABOJE MYŚLIWSKIE

Całkowicie w kraju wykonane, ładowane na elektro-automatach klb. 12, 16 i 20 angielski proch bezdymny hartśrut we w s z y s t k i c h wielkościach.

oraz ŁUSKI (gilzy) myśliwskie

jedno i wielostrzałowe.

H U R T O W A S P R Z E D A Ż

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE i INFORMACJI UDZIELA:

Biuro Zarządu „P O C I S K U"

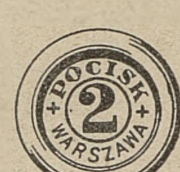
Warszawa, Mińska 25.

Tel. 3-85 do 3-88



Adres telegraficzny:

„WARSZAWA — POCISK"



Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3.